

Zaćpał mi się ostatnio przyjaciel. Byłem na jego pogrzebie i przedawkowałem pogardę, z którą zegnał go ksiądz. Złośliwe ludzkie szepty przekształciły mi się w uszach w spiralę i tak brzmiały, brzmiały, brzmiały bez cholernego końca. Wielu ludzi nie przyszło nawet na czarno, tylko tak zwyczajnie, z ulicy. Łatwo przyszli, łatwo poszli, rzucając mimochodem coś typu:

- Jaka szkoda. Taki młody chłopak.

Plus naturalnie ploteczki:

- Podobno znaleźli go martwego pod śmietnikiem!

- Nie, nie, mi sąsiadka mówiła, że na klatce schodowej. Dwa dni go nie ruszali, bo myśleli, że spał. W końcu straż miejską wezwali, tamci pogotowie i zabrali go w worku.

Jak śmieć, jak odpad, jak płód wyjęty z macicy.

Nawet świat się nie przejął, bo pogoda po pogrzebie była tak obrzydliwie zwyczajna. Nie za ciepło, nie za zimno. Nie pada, nie wieje, nawet słońce nie praży. Niebo zachmurzone idealnie w pięćdziesięciu procentach. Pewnie księżyc pod wieczór też objawi się w połowie.

Zaś pogrzebanego spotkałem, gdy wracałem do domu.

W sumie się nawet nie zdziwiłem.

- No siemasz - powiedział. - Masz ognia?

Kiwnąłem głową, podałem mu zapalniczkę, wyciągnąłem fajki z kieszeni.

- Jak było w trumnie? - spytałem.

- Zajebiście duszno - odpowiedział, przypalając mentolowego papierosa. Zawsze śmiałem się z niego, że pali jakieś gówno dla pedałów i gospodyń domowych. Nie przejmował się, bo był z dziesięć pięter ponad to. - No a jak było na pogrzebie?

- Tak samo. - Zapaliłem swojego. - I nikt nawet nie urządził ci stypy.

- No ba! - prychnął. - A kto miałby, kurwa, urządzić? Połowa znajomych posrała się z radości, rodzina nie ma grosza przy duszy, a ciebie nikt nie lubi i nikt by nawet nie przyszedł.

- W sumie racja. Poza tym też nie mam grosza przy duszy.

Zaciągnąłem się z całych sił, wykorzystując każdy nanometr sześciennego płuc. Aż dym zamieszkał mi w gałkach ocznych, w końcówkach włosów, w paznokciach stóp. Aż wypełnił wszystkie pory i dostał się przez uszy. Aż mój egzystencjonalny rak porzygał się z przejedzenia.

- Czego właściwie chcesz? - spytałem.

- Chciałem sprawdzić, czy wyrzuty sumienia powiesiły cię już na żyrandolu. Gdyby to zrobiły, to chętnie bym cię trochę podyndał, by uczcić stare dobre czasy.

- To nie moja wina, że się zabiłeś, pojebie.

- Wmawiaj to sobie dalej. Jak zobaczysz dziecko tonące w Wiśle, to też pójdziesz sobie i powiesz, że to nie ty wpierdoliłeś je do wody. Taki już z ciebie typ. Poncjusz, kurwa, Piłat. Wiedziałeś, ale nie zadzwoniłeś. Urwałeś kontakt, gdy życie mi się zjebało. Udawałeś, że nie istnieję.

- To był twój wybór, stary. Ja ci nie wpychałem strzykawki w dłoń.

- Ani jej nie zabrałeś. - Splunął na chodnik żółtą, kleistą flegmą. - Mój wybór, kurwa, mówisz? Jasne. Całe życie wybieram kamień przeciwko papierowi, bo tak mi się podoba. A ludzie mówią: brawo stary, chwytaj stery swojego życia! Jak chcesz, to napierdalaj głową w ścianę!

- Wracaj do grobu i daj mi spokój - poprosiłem grzecznie.

- Żebyś dalej mógł być zjebem bez przyszłości i przeszłości? Tak jak sobie wybrałeś?

- Ja leczę się psychotropami, a nie zaleczam heroiną.

- Ja po heroinie byłem szczęśliwy, a ty po psychotropach zepsuty. Taką masz, kurwa, terapię. Unikanie, uciekanie, spierdalanie. Jak wtedy, gdy zobaczyłeś mnie na przystanku. Kaptur na głowę i chuj, wcale mnie tu nie ma. Chociaż widziałeś, że wkrótce zdechnę.

Nie odpowiadaj. Nie odpowiadaj. Nie odpowiadaj.

- Przepraszam - odpowiedziałem.

- Ciut za późno, ale dobra, niech ci będzie. - Uśmiechnął się w naprawdę obrzydliwy sposób, od ucha do ucha, jak Grinch. Zawsze się tak uśmiechał, a ja zawsze odwracałem wtedy wzrok. Bałem się, że wszystkie pryszcze na jego twarzy popękają i zaleją mnie wodospadem ropy. - Potowarzyszę ci jeszcze, chłopie. Odprowadzę cię do domu, dobra?

- Jasne. Powspominamy stare dobre czasy.

I szliśmy tak sobie, ja od strony bloków, on od strony jezdni. On opowiadając zabawne historie z naszego wspólnego życia, ja milcząc, chichocząc tylko co parę chwil. Aż w końcu weszliśmy na wyjątkowo ruchliwą ulicę. Aż zobaczyłem samochód, zapieprzający jak błyskawica.

Auto walnęło w mojego martwego ziomka ułamek sekundy po tym, jak go popchnąłem. Odrzuciło go na parę metrów, rozbiło głowę jak arbuza, a potem przejechało jeszcze po nim i zakopało w jego ciele jak w błocie. Próbowало wycofać, wywołując fontannę krwi.

I każda kropla spadła na mnie. I paliła jak pierdolony kwas.

Wszędzie był dym, wszędzie był ból i zapach palonego ciała. Próbowalem się otrzeć, ale palce grzęzły mi w roztopionej skórze. Chciałem wrócić do domu, albo pójść do szpitala, ale zabłądziłem w kłębach szarości. Nie mogłem się nawet dotknąć, bo dawno już wyżarło mi opuszki palców.

W końcu uderzyłem w jakąś szybę. Przejrzałem się w niej.

No jasne. Stopiło mi całą twarz. Wyglądałem jak jebany człowiek-słoń.

27.4.2018

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bernierdh, dodano 29.06.2018 01:46

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.